

TAMTEN GRUDZIEŃ

ANDRZEJ JAR

Na pasterkę chodziliśmy do kościoła św. Mikołaja, który był naszym kościołem parafialnym, mimo że dość oddalonym od naszego miejsca zamieszkania. Byliśmy nastolatkami, popalającymi papierosy i umiającymi całować się z dziewczynami. Wcześniej, w latach podstawówki, naszym kościołem był kościół św. Andrzeja Boboli na ulicy Mickiewicza, do którego było nam bliżej, gdzie uczęszczaliśmy na lekcje religii i od czasu do czasu, kiedy wręczano nam na katechezie kartkę do spowiedzi, ustalaliśmy się w kolejce do konfesjonału, zerkając uprzednio, czy nie siedzi w nim ksiądz Chodaczek, którego bardzo lubiliśmy, ale też obawialiśmy, jako że ksiądz Chodaczek stął z ciężkiej ręki – mawet w czasie mszy potrafił odejść od ołtarza, by ostrymi słowami przywołać do porządku zajętych rozmową gówniarzy. Niesamowite historie opowiadano o gwałtowności księdza Chodaczka – o tym, że nawet z konfesjonału może wyskoczyć, żeby osobiście wymierzyć pokutę spowiadającemu się grzesznikowi. On sam chętnie wspominał jak to kiedyś dał w mordę złodziejowi, który ośmielił się kraść różę z plebanii.

– Zostaw, złodzieju, bo nie twoje – rzekł ksiądz Chodaczek, który tego wieczoru czytał książkę na balkonie. Ale złodziej tak był zajęty kradzieżą róż, że nie usłyszał słów księdza. Ksiądz Chodaczek musiał więc pofatygować się na dół.

– Trzy razy go otwartą dłonią w pysk zdzieliłem – opowiadał – i trzy razy padł na ziemię, ale dłoń miałem potem siną.

Ostatecznie mieliśmy się przekonać, że z tym wyskakowaniem z konfesjonału to była przesada; w konfesjonale ksiądz Chodaczek był łagodny i wyrozumiały.

Kościół św. Andrzeja Boboli był nam bez wątpienia bliższy niż nasz kościół parafialny, jednak droga do niego przez zabudowaną parterowymi chatynkami ulicę-dzielnice Zielony Trójkąt, a potem wydeptaną ścieżką „nad rzeczką”, czyli nad szerokim na dwa-trzy metry rowem, którym spływały do portowego kanału ścieki, stawała się dla nas z biegiem czasu coraz mniej ciekawa. Kościół św. Mikołaja stoi zaś w śródmieściu Gdańska i musieliśmy dojeżdżać do niego tramwajem albo kolejką SKM, albo maszerować kawał drogi na piechotę, co w wigilijną noc było dla nas szczególnie atrakcyjne. Poza tym byliśmy przekonani, że w śródmieściu mieszka więcej ładnych dziewczyn niż w parafii św. Andrzeja. I dlatego zaczęliśmy chodzić na pasterkę do dominikanów.

Czterech nas było kumpli nicrozłącznych, słuchających z płyt pocztówkowych Beatlesów, Stonesów, Animalsów, dobierających się na prywatkach do dziewczyn przy piosenkach Niemena, Czerwonych Gitar, Niebiesko-Czarnych – brzdąkających na gitarze i unikających na ile się dało fryzjera. Latem chodziliśmy na (tak to się wtedy nazywało) podryw do ustawionego przy operze wesołego mias-

teczka albo, rok czy dwa później, do czeskiego lunaparku, który zajmował plac przy bramie nr 2 Stoczni Gdańskiej.

Do tego drugiego zaglądaliśmy prawie codziennie. Głównie po to, żeby posłuchać z lunaparkowych głośników nagranej na taśmie magnetofonowej płyty The Beatles *A Hard Day's Night*. Taśmę puszczał Czech sprzedający bilety na karuzele i wcale nie czynił tego często, gdyż jako Czech uważał za stosowne promować w Polsce czeskie piosenki, które na dodatek podobały mu się chyba – odwrotnie niż nam – dużo bardziej. Stawaliśmy więc przed okienkiem budki Czecha i prosiliśmy: - Panie, puść pan bitłów. Wtedy on, zdierca, stawiał warunek, że jeśli kupimy bilety na karuzelę to puści. I tak nasza miłość do Bitelsów kosztowała nas dziennie cztery złote na głowę, co nie było mało. Ale Bitelsi byli tego warci.

Jesienią wracaliśmy do szkoły i znów zaczynały się wysiłki z ukryciem długich włosów przed zamkniętymi na wszelkie nowości belframi. Wkrótce nadchodziła zima.

Kulminacją zimy było oczywiście Boże Narodzenie. Wigilia Bożego Narodzenia to było coś zupełnie różnego od pozostałych dni w roku. To był dzień wyczekiwany. To było podniecenie oczekiwania na wielkie wydarzenie i niepowtarzalny nastrój, którego dziś nie ma i nigdy już nie będzie.

My też staraliśmy się być tego dnia inni niż w reszcie dni roku. Zarabialiśmy lub wyciągaliśmy od rodziców pieniądze na nowe buty, kurtki, koszule czy (zawsze zamawiane u krawca) spodnie. Wszystko to zakładaliśmy na siebie dopiero w Wigilię. Czasem dodatkowo czermiliśmy włosy specjalnym szamponem barwiącym i – wstyd powiedzieć – smarowaliśmy twarz kremem samoopalającym, wyglądając dzięki tym zabiegom jak ciężko chore na żółtaczkę manekiny, co bardzo nam się podobało i zwracało na nas oczy innych, co podobało nam się jeszcze bardziej.

Jednak w Wigilię roku 1970 nie staraliśmy się rzucać w oczy, chcieliśmy być szarzy jak wszyscy. Wychodząc na pasterkę do św. Mikołaja przyczesaliśmy gładko długie włosy i ukryliśmy je za kołnierzem zimowej kurtki, myśląc o spokojnym powrocie do domu. Mieliśmy już niemiłe doświadczenia z milicją. Poza tym w tym roku nie stroiliśmy się jak w poprzednich latach. Czas temu nie sprzyjał.

Grudzień 1970 zaczął się dla nas w poniedziałek, czternastego dnia ostatniego miesiąca roku. Zaczął się przy gmachu Państwowej Opery i Filharmonii Bałtyckiej na Alci Zwycięstwa, gdzie z minuty na minutę gęstniał tłum napływających od strony akademików Politechniki Gdańskiej ludzi. Prawdę mówiąc, nie wiedzieliśmy nic o buncie stoczniowców przeciwko wprowadzonej kilka dni wcześniej podwyżce cen. Teraz dopiero mieliśmy dowiadywać się, o co chodzi. Przejście pod akademiki miało na celu wezwanie studentów do przyłą-



czenia się do buntu. Studenci nie wyszli – pamięć osamotnienia w marcu 1968 była wciąż świeża.

No pewnie że byliśmy tym podnieceni: coś się działo! Bez wahania ruszyliśmy ze wzburzonym tłumem w stronę śródmieścia, chociaż tak naprawdę nie byliśmy wcale za bardzo rozgniewani. Dla nas „Gomuła” i tysy jak kolano „Cyrano de Bergerac”, czyli Cyrankiewicz to były śmieszne postaci – staruchy, o których opowiadało się kawały. A czy inaczej mogliśmy traktować kogoś, kto nazywał się Kociołek? Oni co prawda naprawdę istnieli, byli, ale nie liczyli się w naszym nastoletnim życiu. Bitelsi się liczyli, Niemen...

Szliśmy więc z rozgniewanym tłumem śródmieściem Alci Zwycięstwa i było to nawet dla nas jakoś tam zabawne. Zwłaszcza że obok nas szedł śmieszny facet, który do skandowanego przez robotników hasła „Chcemy chleba!” dorzucał półgłosem okrzyk: „Ale z baleronom!”.

- A co, mam jeść suchy chleb? – mrugał do nas okiem.

Na wysokości Placu Zebrań Ludowych śmieszny facet zaproponował: - Chodźcie, chłopaki, spalimy jakiś samochód.

Dopiero potem dotarło do mnie, kto to jest prowokator.

Za Błędnikami stały kordony milicji. Wchodzących na wiadukt powitały lecące petardy i gaz łzawiący. Ze strony demonstrujących poleciały kamienie. Milicjanci zaczęli wycofywać się w stronę dworca kolejowego. Po lewej, na tyłach hotelu Monopol płonęły na Rajskiej wycieczkowe autokary. Teren pomiędzy Komendą Miejską MO na Świerczewskiego, Komitetem Wojewódzkim PZPR i dworcem PKP opanowany był przez milicyjne oddziały, ale napierający z kilku stron tłum, zmusił milicjantów do odwrotu w stronę komendy. Robotnikom udaje się wdrzeć do komitetu partii, ale siły MO wracają wzmocnione od strony Świerczewskiego i Okopowej, spychają demonstrantów w stronę Wałów Piastowskich i Rajskiej. Komitet zapłonął jutro wieczorem.

We wtorek zaczynamy odczuwać grozę wydarzeń. O zmierzchu przyjeżdżamy do centrum kursującą nieregularnie kolejką SKM. Słychać strzały – pojedyncze i krótkie serie. Ludzie cofają się w popłochu z wyjścia na ulicę, kryją się za wagonami kolejki.

Gaz łzawiący, którego pełno w powietrzu gryzie w oczy. Jakiś mężczyzna na peronie mówi łamiącym się głosem:

- Mówią, że strzelają ślepakami, na postrach. Ślepaki, co? – wyciąga na dłoń kilka ostrych naboju.

Ktoś rzuca wiadomość o walce pod Komendą Miejską MO; że odcięto milicjantom drogę powrotu, kilku złapano i rozbrojono, że to wojsko strzela do demonstrantów z okien komitetu, że są zabici, ale robotnikom udało się dostać do wnętrza, są już za drzwiami KW, na parterze partyjnego bastionu.

Nie ma wybuchu radości, kiedy w oknach KW PZPR pojawiają się płomienie. Widok pożaru w ciemności zimowego wieczoru jest ponury.

W środe słychać strzały w okolicy stoczni, ale środek miasta opanowany jest przez ludność. W ciągu dnia przy murze kościoła św. Elżbiety, niedaleko wypalonej ruiny komitetu partii, widzę kilkunastoosobowy oddział MO raczący się piłą z butelek wódką. Za kilka tygodni w „Głosie Wybrzeża” napiszą „szczerze odpowiedzi na zadawane pytania”. Odpowiedź na jedno z „zadanych pytań” – czy milicjanci pili podczas akcji wódkę – brzmi: nieprawda.

Ludzie opowiadają o tym, że jeden z milicjantów złapanych w pułapkę pod Komendą Miejską nie wytrzymał ze strachu i zastrzelił z pistoletu młodego mężczyznę. Są dwie wersje konsekwencji tego zabójstwa – jedni mówią, że milicjanta rozszarpano, drudzy, że usiłowano go powiesić, lecz kiedy założono mu pętlę na szyję wypadł z komendy oddział jego kompanów i odbił lincolnianego.

W czwartek roznosi się wiadomość o masakrze robotników w Gdyni.

Tymczasem gdańszczanie zaczynają myśleć o zbliżających się świątach. Na ulicach nie słychać już strzałów i przez kilka dni nie widać będzie w będzie w śródmieściu milicji. Mieszkańcy miasta wprowadzają w czyn komunistyczne hasło „każdemu według potrzeb” i sami obsługują się w sklepach z rozbitymi szybami, w których nie ma nikogo, kto by dopominał się zapłaty za towar.

Szwendając się tu w dzień, możemy łatwo zaobserwować, jak różne mają ludzie potrzeby. Jedni potrzebują telewizora, drogich futer albo wyrobów jubilerskich – inni myślą o świątecznym stole. Staruszka z wypchaną tor-

bą na zakupy wychodzi z rozbitego okna Delikatesów na Rajskiej, po czym zatrzymuje się gwałtownie i wzdycha głośno: - Zapomniałam o maśle. Gramoli się znów przez okieną ramę do wnętrza.

Obok na krawężniku przysiadł zbliżony wiekiem do zapominalskiej staruszki bezzębny mężczyzna. Jakby odpoczywał po ciężkiej pracy. A może zastanawia się jak dotransportować do domu te wszystkie stojące przed nim butelki wódki i wina różnych gatunków. Mija go dwóch osiłków.

- Dziadku, a po cóż wam tyle gorzałki? – dziwi się jeden z nich. - Podzielic się z nami.

I łapie za jedną z butelek. - Oddawaj to, ty złodzieju! – krzyczy za nim dziadek.

Mężczyzna przy kiosku „Ruchu” pod Domem Prasy potrzebuje wodę kolońską, sięga więc po nią przez rozbitą szybę. Trudno mu dosięgnąć towaru, przyciska ramieniem zwisające strzępy szkła, którego ostry kawałek odrywa się z góry ramy i wbija mu się w odsłonięty nadgarstek, kiedy wyciąga rękę z zaciśniętą w dłoni zdobyczą. Leje się krew.

„Otwarte” Delikatesy korcą Mirka, największego z nas zabijakę. W końcu nie wytrzyma, wskakuje do środka i wynosi cztery butelki węgierskiego wina. Białego.

- Przyda się na sylwestra – mówi.

My pozostali, grzeczniejsi, czujemy się jak początkujący przestępcy. Prawie wpadamy w panikę. Chcemy jak najszybciej pozbyć się gorącego towaru. Nie będziemy przecież szli z butelkami wina w kierunku Wrzeszcza, ryzykując wpadnięcie w łapy milicjantów. Postanawiamy ukryć łup przy ruinach kościoła św. Jana na Świętojańskiej. W domu naprzeciwko będziemy bawić się na sylwestrowej prywatce.

Nie pamiętam kiedy zaczął padać śnieg. Wiem na pewno, że na sylwestra było go dużo – trzeba było wykopywać spod niego ukryte pod św. Janem butelki wina. W noc wigilijną chyba jednak śniegu nie było, chociaż może – tak mi się wydaje – zaczął prószyć tej nocy. Nie jestem pewien. Pamiętam tylko chwilę, gdy o północy kościół rozbrzysnął światłami i tysiące ludzi zaintonowało *Bóg się rodzi, moc truchleje...* Wydaje mi się, że żaden z nas nie myślał wtedy o dziewczynach ze śródmieścia.